Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 44.

dnia 2. Października 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz po wyjeździe Sary, wuj do miasteczka wyjechał, aby innego pachciarza sprowadzić; ja sam w domu zostałem W południe przybiegła dziewczyna wiejska, córka dobrze mi znajomego gospodarza, błagając, bym natychmiast szedł do jej chaty.

Poszedłem.

Na skąpej pościeli leżała kobieta chuda, wynędzniała, umierająca, jak się zdawało z lepszego stanu.

Na twarzy była już śmierć, w jednych tylko oczach płonął jeszcze ogień... Ach! te oczy! Mimo nędzy, mimo śmierci, która niemi wyzierała, były cudowne!...

Gdym wszedł do izby, podniosła się na ręku i tak przemówiła:

— Panie... godziny moje policzone... Rano był tu ksiądz, który mnie przygotował na drogę daleką, teraz chciałabym złożyć drugą spowiedź... Ja i mąż — ciągnęła dalej głosem urywanym — wracaliśmy z Sybiru... byliśmy biedni, więc szliśmy pieszo... mąż dotknięty chorobą piersiową, umarł mi w drodze, a ja w kilka dni po jego śmierci córkę powiłam... Przeleżawszy tydzień we wsi, gdzie mnie słabość zaskoczyła, i ochrzciwszy mego aniołka, ruszyłam z nim dalej u piersi... Szłam do krewnych, którzy na Kujawach mieszkają .. Ksiądz, który chrzcił moją Zosię, zebrał dla mnie składkę malutką.. prędko się jednak wyczerpała... W krótce byłam znowu bez grosza, a żebrać nie umiałam!... Jednej nocy osłabiona, prawie konająca, zapukałam do drzwi pańskiego pachciarza... Wyszła jakaś żydówka i odpędzała mnie przeklinając, ale na jej głos zjawił się żyd słuszny i z brodą, który coś jej powiedział i pomógł mi wejść do izby... Dali mi trochę strawy ciepłej, ogrzali, przyszłam do siebie... Dwie doby u nich leżałam... trzeciego dnia myślałam, że będę mogła wstać i pójść, ale nogi miałam jak kłody opuchnięte, a i w piersiach sił już nie było. Nie żałowałam życia, nie, ale żal mi było mego dziecka, które bez opieki miało zostać samo jedno!

Tu chora mówić przestawszy, rękoma sobie oczy zasłoniła. Ja stałem przy jej łożu o nic nie pytając. Po dłuższej przerwie tak ciągnęła:

— Pachciarka, u której znalazłam schronienie, widząc, że mnie los dziecka najbardziej niepokoi, zaczęła mnie najpierw prosić, potem błagać i zaklinać, bym jej Zosię odstąpiła. Nie mając własnych dzieci i lękając się, żeby się z nią mąż nie rozwiódł, przyrzekła uznać moją córkę za swoją, a kiedym jej odrzekła, że to żadną miarą nie może nastąpić, ponieważ moja córka jako chrześcijanka nigdy żydówką nie będzie, przysięgła mi, że gdy Zosia wyrośnie, sama jej tajemnicę wyjawi, by wróciła do tego świata, do którego należy. Tem mnie pokonała... O ile mi się zdaje, myśl ta wyszła nie od niej samej, lecz od jej brata, który ma być rabinem... Zaledwiem się zgodziła, przenieśli mnie tu oto do tej chaty, gospodarzowi hojnie zapłaciwszy, a kiedym w kilka dni o nich pytała, odpowiedziano, że do Wilna wyjechali... O! panie, jakże mnie serce bolało! Ty nie wiesz panie, jakie to straszliwe dla matki cierpienie, jedyne dziecię utracić... Lecz cóżem miała czynić? Godziłoż się to biedne niemowlę skazywać na

śmierć głodową! Jam go nie mogła moją piersią wykarmić, pierś moja wyschnięta, a i serce niedługo bić w niej przestanie!...

Wysilona padła na posłanie. Do głębi wzruszony wziąłem ją za rękę.

— Powiedz mi pani — rzekłem — co mam dla ciebie uczynić?

— Dla mnie nic panie, nic... ja już nie mam żadnych potrzeb... cztery deski i garść ziemi poświęconej znajdą dla mnie ci zacni ludzie u których mieszkam, ale dla mego dziecka proszę cię o jednę łaskę!... Dowiedz się pan gdzie jest moja Zosia i odbierz ją... przecie znajdzie się może jaka poczciwa rodzina chrześcijańska, która ją uzna za swoją... Ach! ksiądz mówił mi, że jeżeli dziedzicowi z tem się nie zwierzę, dwie dusze zatracę, jej i moją... O! zlituj się pan, zlituj! Oto dowody urodzenia mojej Zosi i jej chrztu...

— Dobrze — odpowiedziałem papiery przyjmując, które z pod poduszki wyjęła — lecz po czem ją poznam? Wszak dziecko do dziecka podobne...

— Na średnim palcu prawej ręki, biedactwo ma malinkę dużą i czerwoną...

— Wielki Boże! Więc to ona! — garbus zawołał, na równe nogi się zrywając. — To znamię na jej ręce nie raz widziałem.

— I jam je widział jeszcze wtedy, gdy mnie na Ekonomówce doglądała... Tak jest, to ona, ale słuchaj pan, co się dalej stało: Biedna kobieta umarła. Z początku zamierzałem jej tajemnicę powierzyć wujowi i prosić go, by wespół ze mną zajął się odszukaniem dzieciny, wszelako gdym pomyślał, że wuj gotów to przyjąć obojętnie, może nawet niechętnie, trudno bowiem wyobrazić sobie człowieka, który by więcej od niego dbał o spokój i nie życzył sobie, by mu cudzemi sprawami umysł zaprzątano, postanowiłem nic mu nie wspominać. Od tego dnia dowiadywałem się ciągle o Josia Groba i jego żonę, dwa razy jeździłem nawet w tej sprawie do Wilna, jednakże najskrzętniejsze poszukiwania okazały się bez skutku. Przepadli, jak kamień w wodę rzucony.

W sześć lub siedem miesięcy po tym wypadku, wuj mój wyjechał na kilka tygodni do Warszawy, dokąd go ważne sprawy wzywały. Pieniędzy wziął z sobą niewiele, resztę zostawił w kasie, gorąco mi polecając, bym sypiał w jego pokoju, i aż do jego powrotu, nigdzie z domu nie wyjeżdżał. Przyrzekłem uczynić jak sobie życzył, ale ledwie wyjechał, ja puściłem się zaraz do miasteczka, aby z przyjaciółmi spędzić wieczór wesoło. Powtarzało się to prawie co dzień, a że zawsze było coś w głowie, o tem panu i mówić nie potrzebuję. Raz przyjechawszy pod dobrą datą, nie poszedłem jak według zwyczaju do sypialni wuja, tylko udałem się do mego pokoju, który znajdował się po drugiej stronie sieni i nierozebrany na łóżko się rzuciłem. Za pasem, jak zwykle, miałem rewolwer, bez którego z domu nigdy nie wyjeżdżałem. Jak długo spałem, nie wiem... tyle tylko pamiętam, że nagle się zerwałem, jak by mi kto nad uchem krzyknął. Słucham... wszędzie cicho... Słucham lepiej, zdaje mi się, że ktoś chodzi po drugiej stronie domu. Wybiegam do sieni, które ode dworu były zamknięte i chcę otworzyć drzwi od sypialni wuja, lecz te zastaję z wnętrza zaryglowane i słyszę że ktoś z tamtąd ucieka. Domyślając się złodziejów, jednem pięści uderzeniem drzwi wywalam i wpadam do środka. Nikogo nie zastaję, ale okno widzę otwarte. Przybiegam do niego, a że noc była księżycowa, więc na dworze jak w dzień było widno. Przed samą bramą, która była otwarta, dostrzegłem człowieka, jak uciekał, coś pod lewem ramieniem dźwigając. Stój! — wołam, a gdym postrzegł, że się nie zatrzymuje, strzelam. Uciekający chwycił się za lewe ramię i jęknął: Aj! Chciałem poprawić, nabój jednak zawiódł i ptaszek z klatki uciekł... Na strzał ludzie się zbiegli, ale zanim zdołaliśmy konie ze stajni wyprowadzić, złodzieje byli już za górą dziesiątą. Ze śladów kół za bramą mogliśmy się przekonać, że wozów było kilka i rozjechały się w różnych kierunkach. Pogoń do rana była bezowocna. Szkatułka z pieniądzmi wuja zginęła!...

— I złodzieja nie znaleziono? — garbus zapytał.

— A przecie pan go znalazłeś!... Tym nocnym złodziejem nie był nikt inny, tylko Josio Grob którego po tem jednem: aj! poznałem. I tak w to wierzyłem, żem był gotów dać sobie za to głowę uciąć. Kiedy wujowi to powiedziałem, staruszek, mimo że szalał po stracie czterdziestu tysięcy rubli, ofuknął mnie gniewnie, mówiąc żem zwarjował.

— Ale jakim sposobem on się tam dostał?

— O ile sądzę, bardzo prostym... Wracając z Ameryki, gdzie prawdopodobnie nic, lub bardzo mało odziedziczył, musiał sobie ułożyć plan kra-

dzieży, a że i żona jego od nas się wyprowadziła, więc tem łatwiej go wykonał. Złączywszy się z nią w Wilnie, pewnie zamieszkał cichaczem w pobliżu naszej wioski, z kąd śledził każde nasze poruszenie... Po odjeździe wuja, wiedząc, że wieczorami rzadko w domu bywam, przygotował napad z innymi łotrami i w ten sposób nas obrabował.

— Cóż się dalej stało, cóż? — pytał garbus drżąc z ciekawości.

— Mój wuj do roku umarł ze zgryzoty, ja zaś majątek sprzedawszy, do gospodarstwa bowiem pociągu nie miałem, puściłem się po kraju dyszlem rzemiennym, aby wpaść przecie na trop tego łotra. Tym sposobem zjechałem Litwę, Królestwo, Wołyń i Ukrainę, potem wstąpiłem do Księstwa Poznańskiego, a gdy i tam Josia Groba nie zastałem, zjawiłem się tu w Galicji. Przyzwyczaiwszy się raz do włóczęgi, jeździłem z miejsca na miejsce, jak żyd wieczny tułacz, i nieraz, naprzód rzeczy wysławszy, robiłem po kila mil pieszo. Nie ożeniwszy się za młodu, nie chciałem tego głupstwa na starość popełniać, a nie obrawszy sobie także żadnego zawodu, znalazłem w tej włóczędze rozrywkę, zwłaszcza że mnie do niej zachęcała nadzieja, iż biedne dziecię ocalę. Prócz tego, w razie gdybym znalazł złodzieja, pieniądze, które na podróże wydałem, mogły mi się wrócić z sowitym procentem, chwili bowiem nie wątpiłem, że Josio mając tysiące, dojdzie miljonów. Tak zbiegło mi lat 17! Dawno już straciłem nadzieję, bym mógł ptaszka złapać, aż oto, kiedym się tego najmniej spodziewał, ujrzałem go w karecie jako pana Jakóba Sterna.

— Więc go pan zaraz poznałeś? — garbus przerwał.

— Zaraz, lecz nie po twarzy, tylko po głosie... Żydzi prędko się zmieniają, a on tak do dawnego Josia łapserdaka podobny, jak kanarek do wróbla... Jednakże głos jego niewiele się zmienił, to też ledwie usta otworzył, gdyś go pan o coś pytał pod kaplicą, powiedziałem sobie: to on! Teraz wiem, żem się nie omylił, i jeżeli mi się uda łotra zdemaskować, pieniądze odebrać i biedną dziewczynę ocalić, którą głupi Stern ciągle jeszcze za swoją córkę poczytuje, panu to będę zawdzięczał. Bez dowodu najważniejszego, który mi pan przyniosłeś, wszystko co ja miałem, było niedostateczne, zwłaszcza, że sam,. jako nie tutejszy, nie byłbym się odważył targnąć na takiego miljonera. Zobaczymy teraz, czy mu co pomoże porzucenie hałatu i zmiana nazwiska

Garbus siedział ciągle na dawnem miejscu i okiem chmurnem w jeden punkt się wpatrywał. Na dworze zrobiło się tymczasem całkiem jasno. Blask zorzy z boku uderzając, oblewał jednę połowę jego twarzy. Była trupiej bladości. O czem myślał? Co go tak bolało? Jak długo wierzył, że Rózia jest żydówką, na dnie jego duszy tliła zawsze iskierka nadziei, zdawało mu się bowiem, że brak piękna zewnętrznego uzupełniało w nim pochodzenie, do którego ona wielką wartość przywiązywała. — Nie jestem pięknym, wiem o tem, — często sobie powtarzał — lecz jestem chrześcijaninem, ona zaś mając do wyboru między najbrzydszym chrześcijaninem a najpiękniejszym żydem, zawsze by się za pierwszym oświadczyła! — Wierząc w to, tak długo nie wyrzekał się ostatka nadziei, dopóki nie słyszał, że i ona jest chrześcijanką.

— Wszystko dla mnie stracone! — w duszy sobie powiedział. — Teraz on ją poślubi... I na cóż mnie Bóg stworzył?

Dwie łzy jak groch duże i gorące ztoczyły się po jego twarzy pomarszczonej. Pan Ściernicki dostrzegłszy to, zapytał:

— Wolno wiedzieć, co pana tak zabolało?

Machnął ręką i powstając odpowiedział:

— Nie ma o czem mówić!... Teraz trzeba nam się raczej zastanowić co dalej robić. Sprawa dopiero w połowie skończona. My wiemy, kto jest Stern, ale sąd jeszcze się o tem nie dowiedział.

— Natychmiast pojedziemy go uwiadomić.

— Szkoda tylko, że Sterna w domu nie ma... bylibyśmy go schwytali w ciepłem gniazdeczku.

— A cóż się z nim stało?

Tu garbus opowiedział, jak go w łaźni spłoszył i z jakiego powodu. Chcąc bądź co bądź Rózię do miasta wysłać, nie mógł dopuścić, by Stern tej samej nocy, jak zamierzał, do domu wracał, co wyjazd jego córki było by prawdopodobnie uniemożliwiło. Garbus sądził, że Stern do Wiednia wyjechał.

— Potrafimy go i tam znaleźć! — zawołał pan Ściernicki. — Przecie dzięki Bogu żyjemy w epoce telegrafów. A teraz komu w drogę, temu czas. Ja wybiegnę po konie, pan zaś zgotuj tu tymczasem kawę na spirytusie.

W godzinę nasi znajomi jechali już do sądu.

Woźnica konie zacinał, droga była sucha, wózek toczył się jak po stole.

— Ciekawym jakie to wrażenie w sądzie zrobi? — garbus pierwszy przemówił.

— Mniemam, że dobre... Mieszkając tu tak długo, zbierałem rozmaite wiadomości, wiem tedy, że nasz sędzia jest bardzo prawy i Sterna nie lubi.

— Ja zaś pójdę do starosty — garbus wtrącił — i poproszę go o protekcję. Człowiek to zacny i bliski krewny Gozdawitów.

— Nie wiadomo czy go zastaniemy. Słyszałem na pewne od księdza, że tamtego tygodnia podał się do dymisji.

— A to czemu?

— Bo za wiadomą sprawę z orderem Sterna chciano go przenieść.

— Szkoda takiego urzędnika!

Odtąd czas jakiś w milczeniu jechali. Nagle woźnica przed karczmą konie zatrzymał i obracając się rzekł:

— Panowie powiadają co do sądu jadą, a tu je akurat woźny z sądu. Może byśmy go wzięli.

Przed karczmą stał człowiek niski, w porządnem ubraniu z grubego sukna, w białym pilśniowym kapeluszu i z dużą torbą skórzaną, która mu na boku wisiała. Twarz miał mocno trędowatą i czerwoną.

— Hej! panie Zwarysz! — woźnica zawołał — może byście z nami pojechali?

— Jeżeli łaska panów! — odrzekł woźny kapelusz zdejmując.

— Siadajcie!

Zwarysz nie dał sobie tego powtórzyć, i chociaż bardzo już dawno jak był młodym i trzeźwym, na wóz prędko się wygramolił.

— Ciężka to teraz robota — zaczął mówić, jakby do siebie. — Dawniej bywało człowiek dostanie pięć, sześć kawałków, teraz dwieście i trzysta czasem... Ot cały tydzień po wsiach się włóczyłem i ledwie na świętą niedzielę mogę wrócić do mojej starej... Ale gdzie kto słyszał, żeby się takie rzeczy działy! Dawniej bywało ekonom wsypie chłopu 25, leśniczy doda mu jeszcze 15, i chłop kontent, ani mrumru... a teraz niech jeden drugiemu powie: ty durniu! albo z przeproszeniem honoru panów: ty świnio! zaraz ta hołota idzie do sądu i skarży o obrazę honoru. I o pięć mil, słowo uczciwe daję, o pięć mil idą z takiemi skargami! Ale nasz pan sędzia ma dobrą głowę i wie jak z tymi drabami postępować.

Tu Zwarysz urwał i tabaki zażył; garbus bojąc się, by nie zapomniał dokończyć, zapytał:

— I jakże pan sędzia postępuje?

— Ta jak... Wszystkie takie sprawy pyskowe spycha co dwa tygodnie na jeden dzień, a przed samym terminem woła mnie i mówi: „Zwarysz, jutro dzień honorowy, spisz mi się dobrze!“ Jak tylko to usłyszę, zaraz wiem co robić. Wstaję sobie rano, idę do kancelarji i wszystkie zegary posuwam o dwie godziny, tak że jak na niebie dopiero piąta, to u nas już siódma. O godzinie 9 chłopy na termin przychodzą, a pan sędzia pokazuje na zegar i woła: „Gałgany nie widzicie że 11 a termin był o 9! Marsz do domu!“ Tak to się u nas kończy zwykle każdy dzień honorowy. Albo, jeżeli przyjdzie czasem jaki murga i mówi: „Proszę wielmożnego pana sędziego Iwan powiedział, że mi da w pysk!“ to pan sędzia pyta: „A powiedział w jakim terminie w pysk dostaniesz?“ — „Nie powiedział!“

— „A więc i ja dam ci dopiero wtedy termin, jak od niego termin dostaniesz!“ — Jak świat światem, nie mieliśmy lepszego sędziego.

— Pan sędzia musi być surowy — garbus zauważył.

— I jak jeszcze!... Zwyczajnie człowiek wojskowy. Bo to trzeba wielmożnym panom wiedzieć, że nasz pan sędzia był w wojsku audytorem. Ja także człowiek wojskowy, dziesięć lat służyłem u szandarów, więc wiem co to znaczy. Raz pamiętam, woła mnie i mówi: „Zwarysz idź na pocztę i prędko mi się wracaj, tylko się nie upij, bo pójdziesz do kozy!“ — Dobrze — odpowiadam i idę... Na dworze był mróz siarczysty, aż nieprzymierzając świeczki w oczach stawały, a że koło domu przechodziłem, więc myślę sobie, wstąpię do mojej starej na śniadanie, bo jeszcze byłem na czczo. Wpadam, jem kaszę, uczciwe słowo daję nawet nie pamiętam czy była z mlekiem czy bez mleka, pędzę na pocztę i wracam do kancelarji. Takem biegł, żem się aż spocił... Oddaję kawałki panu sędziemu, a on woła: „Zwarysz! tyś pijany!“ — Nie proszę wielmożnego pana sędziego — odpowiadam. — „Jeźliś nie pijany, to patrz mi w oczy!“ — Stanąłem *habt Acht* i patrzę na niego, a on na mnie, on na mnie, a ja na niego, i uważam żeby broń Boże nie chybnąć, boby mnie zaraz wsadził do aresztu... Ale on pierwszy chybnął...

Wtedy ja *halb links* i do sieni. Z ludźmi wojskowymi trzeba wiedzieć jak przystawać!

Zwarysz na ten temat dalej opowiadał i nasi znajomi ani nie postrzegli, kiedy przed sądem stanęli.

Mimo że to była niedziela, naczelnik sądu dowiedziawszy się, jak ważna sprawa ich sprowadziła, zajął się sam spisaniem protokołów, co cały dzień zajęło. Dopiero późnym wieczorem mogli swoje zeznania podpisać i zaprzysiądz. Gdy to się stało, sędzia wysłał natychmiast dwóch żandarmów do Woli Ludaczowskiej, aby Sterna uwięzili, jeźliby był w domu; prócz tego zatelegrafował do Wiednia, żeby go tam szukali. We dwie godziny nadeszła z Wiednia wiadomość, że ptaszek jest już w klatce. Gdy pan Ściernicki to usłyszał, z wielkiej radości garbusa ledwie nie udusił.

— Kiedyśmy tyle zrobili — rzekł garbus — toć chyba wypada nam teraz jechać do tej, która o tem, co się stało, powinna być jak najprędzej uwiadomioną.

— Pewnie, pewnie — odpowiedział pan Ściernicki, poczem obadwa na całą noc w drogę ruszyli. W stolicy mieli stanąć dopiero w poniedziałek w południe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZULEIKA.

NOWELA przez K. H.

(Ciąg dalszy).

III.

Kto zaznał miłości, kto spragnioną duszą pił z tego kielicha, w którym niebiańskiej tylko szukał rozkoszy, a znalazł wraz z nią niejedną kroplę boleści i cierpień, kto wie co to znaczy tęsknota, która jak czerw toczy serce, mąci nasze myśli, ubezwładnia wolę i wzmagając się coraz bardziej, opanowuje całe nasze jestestwo, aż wreszcie upadamy bez siły i nadziei, jak pielgrzym, który wsród skwarnej pustyni, ginie w pobliżu źródła oazy, mogącego przywrócić mu siły i życie, kto doznał tego i odczuł to wszystko, ten pojmie z łatwością stan, w którym znajdował się Achille, gdy dzień po dniu, tydzień po tygodniu mijał, a pożądana sposobność się nie zjawiała. Młody artysta nie należał do tych żelaznych charakterów, które gdy uczucie nimi zawładnie, umieją stać jak opoka pośród nacierających przeciwności, które mogą temu uczuciu dać na usługi otuchę i cierpliwość, niezachwianą energję i niezłomną wolę, a za pomocą takich środków, bronią się skutecznie przeciw zwątpieniu i rozpaczy. — Zakochany i tkliwy, szalony w swoim zapale, a przecież miękki i poddający się przeciwnościom, upadał on na ciele i duchu, tęsknota ciężyła nad nim jak całun grobowy, a z dniem każdym zwątpienie coraz to chyżej gnało go nad brzeg rozpaczy.

Prócz jednej myśli, nie istniała dla niego żadna myśl, prócz jednego cierpienia, nie było dlań cierpienia. Wszędzie na świecie tak pusto, tak głucho, tak zimno! Tylko przez tych kilka chwil, które spędzał co wieczora przy okienku starej baszty nad morzem, zapominał o wszelkiej niedoli, tylko wtedy, gdy stara Greczynka donosiła mu przysięgi miłosne Zuleiki i zapewniała go, jak ona pragnie wyswobodzenia, aby stać się jego na wieki, głos ludzki nie zdawał mu się być nieznośną dysharmonią.

Poczciwy stary Delarive bolał szczerze nad tym stanem duszy swego bratanka, usiłował wszelkiemi sposobami jego pocieszyć i uspokoić, aż wreszcie widząc, że to nie odnosi pożądanego skutku, odzywała się w nim na nowo junacka żyłka napoleońskiego wojownika z pod Abukiru i Trafalgaru i wysypując całą lawinę swoich ulubionych przekleństw, przysięgał że sam pójdzie wyrwać Zuleikę przemocą z jej więzów.

Znowu Berthier musiał wkraczać ze swoim zapasem rozwagi i zimnych argumentów i zgromić zarazem stryja i bratanka, aby odwieść pierwszego od szalonych przedsięwzięć, drugiego od bezowocnych i nie męskich lamentów.

Stan ten trwał przeszło dwa miesiące. — Achille marzył, wzdychał i więdniał z dniem każdym, kapitan martwił się, to znów kipiał w bezsilnej złości, jak stary lew okuty w łańcuchy, a Berthier'owi coraz trudniej było odwieść swego starego przyjaciela od podjęcia pierwotnych, szalonych planów. — Aż w końcu nadeszła utęskniona przez nich chwila i sposobność.

Z wieczora, blisko północy, gdy Achille powrócił ze swojej codziennej wyprawy, zapukał ktoś lekko do okna Berthier'a. Młody malarz stał właśnie przy oknie swego pokoju na piątrze i spoglądał zadumany ku płonącym jeszcze światłom w oknach domu Ibrahima, które jak błędne ogniki, jak zwodne nadzieje, jedno po drugiem, gasły przed jego oczyma. Usłyszawszy na dole pukanie, wychylił się z okna i spostrzegł pochyloną postać starej Greczynki, czekającą pod drzwiami.

Ten widok, o tak spóźnionej porze, zdawał mu się być zwiastunem ratunku. Jakieś dziwne połączenie nadziei i obawy go opanowało; z biciem serca i wstrzymując oddech stał przez chwil kilka, jakby mu brakło odwagi zejść i przekonać się, co za wieści mu stara przynosi. — Dopiero gdy usłyszał głos Berthier'a w rozmowie ze swoją powierniczką, ochłonął ze wzruszenia i przycisnąwszy ręce do czoła, jak gdyby chciał ochłodzić pałające skronie, zbiegł szybko na dół.

Istotnie, tym razem niepomylił się Achille, bo zwykły szatański uśmiech wróżki, przybrał taki tajemniczy, obiecujący wyraz, oko jej iskrzyło się taką piekielną

chytrością i uciechą, że nietrudno było odgadnąć, jak ważne przynosi nowiny.

— Czy masz co nowego? — zapytał sucho Berthier, zapalając cygaro.

— Do usług twoich panie — odpowiedziała stara. — Twoja niewolnica była wierna i czujna, nigdy nie zapominała o twoich rozkazach, dopóki nie nadeszła chwila wyswobodzenia pięknej Zuleiki, a ta chwila obecnie się zjawiła.

— Mów, mów kobieto! — zawołał Achille, który dotąd stał jak posąg bezwładny, oparty o poręcz fotelu.

— Powiedz więc krótko i jasno co się stało i jakie są twoje plany — rzekł spokojnie Berthier, dając ręką znak Achille'owi, aby był cierpliwym.

— Jak każesz, opowiem panie — rzekła Greczynka, kłaniając się po ziemię — a moi panowie, niech dobrze baczą na słowa ich niewolnicy. Od czasu gdy ostatni raz tutaj byłam, śledziłam ciągle i wytrwale za jakąś sposobnością. Długo moje zabiegi były bezowocne, aż nareszcie znalazł się sposób do spełnienia waszych rozkazów: Oto wczoraj przybył z Warny do Stambułu ojciec Fatymy, jednej z kobiet, które wraz z Zuleiką znajdują się w haremie Ibrahima i przywiózł ze sobą młodszą swoją córkę, szesnastoletnią dziewczynę. Ta pragnęła bardzo odwidzieć swoją siostrę w haremie, a znając mnie od dawna i wiedząc, że ja tam bywam, udała się do mnie o pośrednictwo i wyjednanie pozwolenia. Ja upatrzyłam w tym wypadku pożądaną sposobność i uzyskałam pozwolenie, aby jutro popołudniu przyprowadzić młodą dziewczynę do haremu.

A teraz panowie posłuchajcie jaki mój plan: Oto wszedłszy z nią do haremu postaram się, aby się zabawiono do późnej godziny, dopóki eunuchy nie pokładą się spać w pierwszej komnacie. Potem uprzedziwszy Zuleikę, zadam mojej towarzyszce i wszystkim kobietom haremu, usypiający płyn w sorbecie, który je pogrąży bezzwłocznie w tak głęboki sen, że dopiero po wielu godzinach z niego ocknąć się nie zdołają. Ze siostry Fatymy zdejmę wtedy suknie i zasłonę i ubiorę w nie Zuleikę, która jest tego samego wzrostu. W tem przebraniu przeprowadzę ją śmiało i bezpiecznie pośród śpiących eunuchów, którym nawet na myśl nie przyjdzie mnie zatrzymywać. A wy panowie, będziecie czekać w ukryciu przy bramie haremu, aby odebrać Zuleikę. — Teraz powiedzcie mi łaskawie — kończyła z ponownym ukłonem, — czy plan waszej niewolnicy do myśli wam przypada i czy jesteście z niej zadowoleni.

Tu przenikliwie oczy Greczynki spoglądały badawczo na Europejczyków. Po chwili namysłu, przemówił Berthier:

— Plan dobry i da się wykonać; a więc stara, bądź oględna i sprytna. Zrób swoje, a my o naszem nie zapomniemy. Umówiona nagroda cię nie minie; w chwili, w której Zuleika będzie w naszym ręku, wypłacę ci 25 luidorów.

Na to oczy Greczynki zaiskrzyły się jeszcze bardziej i nieśmiało, jakby wahając się, rzekła z chytrem, czychającem wejrzeniem:

— Wiem, o tem że moi panowie nie zapomną wynagrodzić swej niewolnicy. Ale po spełnieniu naszego zamiaru, nie będę mogła widzieć się z nimi, ani zatrzymywać się przy bramie haremu. Aby ujść zemście, będę musiała na jakiś czas umknąć w głąb kraju lub do Skutari. Ale moi panowie będą może również zmuszeni odpłynąć, jeźli się Turcy domyślą, kto jest sprawcą tego wykradnięcia i ja nie mogłabym w takim razie odebrać obiecanej zapłaty. Panowie zechcą łaskawie wypłacić swej niewolnicy nagrodę jutro popołudniu, nim wejdę do haremu.

— Ba! — zawołał Berthier z wzgardliwym uśmiechem czy ty sądzisz, że my Europejczycy tacy głupcy, żebyśmy płacili za coś, czegośmy jeszcze nie otrzymali?

Na te słowa zmięszała się chwilowo stara wróżka, lecz trwało to zaledwie kilka sekund. Wnet przybrało jej oko znowu swój czychający, tygrysi połysk, a twarz wykrzywiła się właściwym jej podstępnym uśmiechem,

— Mój pan niedowierza swojej niewolnicy — rzekła, ponawiając głęboki ukłon, — to niesprawiedliwie i boleśnie. Ale sami widzicie przecież panowie, że inaczej nie mogłabym odebrać nagrody. Jeźli mi nie dowierzacie, podam wam inny, zupełnie bezpieczny sposób: Jutro wieczorem, w chwili gdy będziecie wychodzić z domu, aby oczekiwać mnie wraz z Zuleiką na wskazanem miejscu, włóżcie umówioną sumę pod duży kamień, który leży u progu waszego domu. — Niech ten schowek tylko mnie i wam będzie wiadomy, a ja, oddawszy wam Zuleikę, przybędę tutaj i wezmę sobie moją zapłatę.

Mówiąc te słowa, zaledwie zdołała powściągnąć gorączkową niecierpliwość, z którą oczekiwała odpowiedzi Berthiera. Ciało jej wychyliło się naprzód, jak u przyczajonej tygrysicy, oko iskrzyło się śledząc jego spokojne rysy, a wyraz dzikiej radości błysnął na jej twarzy, gdy tenże odpowiedział po chwili namysłu:

— Ta myśl jest dobrą i zabezpiecza obydwie strony; a więc znajdziesz twoją zapłatę pod dużym kamieniem u progu.

Potem jeszcze umówiono szczegóły całego planu, obmyślano wszystkie możliwości, i dopiero późno po północy, stara Greczynka opuściła dom Europejczyków. Wyszedłszy na ulicę, stała jeszcze przez dłuższy czas ukryta w głębokim cieniu sąsiednich murów. Gdy zaś widziała, że w tym domu wszystko ucichło, gdy ostatnie światło zgasło w jego oknach, pospieszyła cichym, ostrożnym krokiem na drugą stronę ulicy, a kryjąc się w najgłębsze ciemności, zbliżyła się do furtki żelaznej, umieszczonej w murze ogrodu i zapukała po trzykroć. — Furtka otworzyła się i stara wróżka weszła do ogrodu Ibrahima.

IV.

Gdy najgorętsze życzenia, dawno wypieszczone sny, o których urzeczywistnieniu jużeśmy prawie zwątpili, nagle i niespodziewanie zbliżą się do spełnienia, gdy naraz ujrzymy w bliskiem oddaleniu ideały, które bujna wysnuła wyobraźnia i gorąca ukochała dusza, jak poczynają przybierać rzeczywiste kształty i kontury, ogarnia nas częstokroć jakieś nieopisane upojenie, jakieś mimowolne zwątpienie we własne zmysły. Nie dowierzamy naszym oczom, czy dobrze widziały, naszym uszom, czy jakiś zwodniczy dźwięk im nie myli. Pytamy się sami siebie czy nie śnimy, lub czy zmysły nasze, chcąc z nami okrutną zabawić się igraszką, jakichś dawnych marzeń sennych nie przedstawiają nam jako rzeczywistość. — A gdy się wreszcie pod tym względem uspokoimy, gdy chwila spełnienia się zbliża, a my skazani jesteśmy w bezczynnem oczekiwaniu liczyć minuty i sekundy i któż niewie jakim żółwim krokiem czas postępuje, jak jeden kwadrans, jedna godzina, jedna noc bezsenna, zdaje nam się być wiecznem życiem Ahaswera. Ręka świętokradzka pokusza się słońce popchnąć do szybszego biegu i jednym zamachem chciałaby posunąć naprzód zegary świata całego. — Lecz nadaremnie!

Zwykłym, nieubłaganym swoim krokiem, wyższy nad ludzką namiętność i boleść, postępuje czas, ten odwieczny twórca i niszczyciel. Minuta po minucie, godzina po godzinie, spływa zwolna i spokojnie w nieprzebrane morze przeszłości, a tu pierś ściska się, skronie pałają, serce bije, jak gdyby chciało wyłamać się ze swego więzienia lub pęknąć z tęsknoty i oczekiwania. — Niech pęka! Cóż znaczy jedno serce ludzkie wobec wszechświata i jego odwiecznych prawideł?

W takim to stanie umysłu, spędził Achille noc, dzielącą go od spełnienia najgorętszych jego pragnień. Zdawało mu się, że słońce już nigdy nie zejdzie, że noce wszystkich wieków w jedną się zlały, aby jego udręczyć.

Aż nareszcie zdala za starym Euksynem niebo zajaśniało i poczęło się zdobić w powiewną, blado różową zasłonę; potem okazały się zwolna w purpurowej, królewskiej szacie, dalekie szczyty małej Azji, śląc swe poranne pozdrowienie przebudzającym się w szkarłatowym blasku minaretom Afi Sofii. W końcu światło zeszło na kopuły, na dachy domów, w nieprzebrany labirynt ulic i uliczek i dzień zawitał do starego grodu Konstantyna.

Z nowym dniem ustał czas bezczynności, a liczne zajęcia i przygotowania, które przed wieczorem musiały być ukończone, nie pozostawiały młodemu artyście wiele czasu do samotnych rozpamiętywań. Po wielu bezowocnych zabiegach i poszukiwaniach, udało się trzem sprzymierzonym znaleść mały szoner, własność młodego kupca włoskiego z Tarentu, który zobowiązał się za dobrą zapłatę zaraz odpłynąć i odwieść kapitana, wraz z Achille'm i Zuleiką do Aten, skąd najbliższym statkiem europejskim zamierzali udać się do Francji. Nadto trzeba było zebrać i przenieść na okręt najpotrzebniejsze pakunki dwu podróżnych, obrazy i szkice młodego malarza, tudzież przygotować na prędce europejski strój dla Zuleiki, co w Konstantynopolu nie należało do łatwych zadań.

Dość późno po południu, wszystkie te przygotowania były ukończone, a pozostałych kilka godzin przeszło szybko, pośród niezliczonych planów na przyszłość, pożegnań z Berthier'em i zapewnień wiecznej przyjaźni i wdzięczności.

Według umówionego planu mieli kapitan z Berthier'em udać się o zmroku na pokład najętego statku i tam oczekiwać Achille'a wraz z jego ukochaną. Achille zaś miał czekać na Greczynkę ze Zuleiką przy bramie haremu, odprowadzić Zuleikę do łódki, którą zwykł był robić swoje nocne wycieczki i popłynąć z nią ku leżącemu o kilkaset metrów od brzegu statkowi. Poczem Berthier miał pożegnać swoich przyjaciół i tą samą łódką na ląd powrócić.

Nareszcie noc nadeszła i trzej sprzymierzeńcy rozeszli się na swoje stanowiska, włożywszy umówioną zapłatę dla Greczynki pod duży kamień u progu.

Ta sama wonna noc południowa rozpostarła swoje panowanie nad Bosforem i jego brzegami, i pełna blasku i majestatu uspiła je pod swoją, w miliony brylantów ozdobną zasłoną z lazuru, w spokojne, beznamiętne marzenia. — Taka sama noc, jej siostra, okrywała niegdyś swemi skrzydłami mityczne okręta Argonautów, dumę i zbrodnie rzymskich władców, bajeczny przepych i rozkosz potężnych sułtanów, panowanie dumnej Wenecji, z tym samym blaskiem, z tym samym spokojem, jak dzisiaj upadek i gruzy dawnej świetności. W głębokiej ciszy drzemał stary Carogród, a żaden szmer nie poważył się przerywać spokoju uspionej królowej. Tylko czasami ozwało się w dali psów szczekanie, lub jakiś ptak nocny, wylatując ze szczeliny starego muru lub wieży, wzbił się nad Bosfor i wydał okrzyk żałoby.

Wszystkie te wrażenia i refleksje nie zaprzątały dziś jednak umysłu młodego malarza.

Pełen nadziei i trwogi stał on w swojem ukryciu, pod murem Ibrahima, oczekując upragnioną chwilę, kiedy żelazne podwoje bramy się otworzą i wypuszczą na wolność jego ukochaną. Wytężając zmysły na każdy, choćby najsłabszy szelest, przechodził on znowu wszystkie te katusze, które pociąga za sobą gorączkowa niecierpliwość, i nigdy jeszcze tak gwałtownie nie biło mu serce, nigdy taki ciężar nie ściskał jego piersi. A czem dłużej to trwało, czem głębsze ciemności poczęły się spuszczać na jego otoczenie, tem silniej odzywały się w nim te uczucia i jakaś dziwna nieokreślona trwoga, jakieś złowrogie przeczucia poczęły go ogarniać.

W tem dały się słyszeć ludzkie kroki za murem, na żwirowanych ścieżkach ogrodu. — Coraz wyraźniej występowały wśród nocnej ciszy, zbliżały się do bramy, jakieś szepty kobiece odezwały się za murem.

Po chwili zardzewiały klucz zaskrzypiał w zamku, ciężka, żelazna brama poruszyła się w zawiasach, wy-

dając jakieś dziwne, żałośne jęki i dwie zakwefione kobiety wyszły na ulicę.

Do tej chwili stał Achille nieruchomy jak posąg, z ręką przyciśniętą do piersi, jak gdyby się obawiał, że konwulsyjne drgania serca zdołają zdradzić jego obecność. Gdy jednak ujrzał o kilka kroków przed sobą Zuleikę, tak blisko, tak blisko przed sobą wszystkie marzenia spełnione, wszystkie sny zmienione w rzeczywistość, pospieszył ku niej z wyciągniętemi ramiony i w namiętnym zapale przycisnął ją do piersi.

Jedna chwila szczęścia w tym uścisku! Jedna kropla słodyczy, jeden promień rozkoszy! — Czyż nie zdoła taka chwila za wszystkie stanąć cierpienia? Czyż nie godzi się dla niej wszystkiego poświęcić. — Iluż takich rodzi się i umiera, których bolu i niedoli, ani jedna taka chwila nie osłodziła?

Jeszcze kochankowie nie zdołali ochłonąć z tego upojenia, jeszcze ramiona ich nie chciały rozpleść niemego uścisku, ani usta spragnione nasycić się pierwszym pocałunkiem, gdy Achille uczuł potężne ramiona trzech uzbrojonych, olbrzymich eunuchów. — Zanim zdołał krzyknąć, sięgnąć po broń, lub zgoła przyjść do świadomości tego, co się stało, związano mu ręce i nogi, zasłonięto oczy, włożono kłębek do ust i dwaj eunuchy unieśli go w głąb ogrodu. Tymczasem trzeci porwawszy Zuleikę, zatkał ręką jej usta i zaniósł ją napowrót do haremu.

To wszystko stało się tak nagle, tak niespodzianie, że Achille na pół nieprzytomny, nie wiedział prawie co się z nim działo, gdy jego zwycięzcy nieśli go przez ogród, weszli do wnętrza domu i szybko przebiegali przez cały labirynt wąskich i ciemnych kurytarzy. Dopiero gdy uczuł, że postawiono go na nogi, gdy wyjęto mu kłębek z ust i rozwiązano oczy, przyszedł do zupełnej świadomości i uczuł, że nadeszła chwila, w której będzie musiał zdać rachunek ze swego postępku. Ujrzał się w obszernym pokoju, urządzonym z całym przepychem dawnego orientalnego stylu, bez wszelkiej europejskiej przymieszki. Pyszne kobierce na podłodze i na ścianach, wzdłuż ścian sofy i poduszki pokryte kosztowną indyjską i perską tkaniną, na środku kilka lamp wiszących a na ścianach, porozwieszane kosztowne zbroje, damasceńskie bronie i dawne wojenne trofea.

Na niskiej sofie, wprost naprzeciw niego, leżał poważny, stary Muzułmanin, w kosztownym, obficie haftowanym stroju prawowiernych Turków. Za pasem z Kaszmiru, błyszczały bogate, drogiemi kamieniami wysadzane bronie, a zielony zawój na głowie oznaczał potomka proroka. Biała jak śnieg broda, starannie utrzymywana, spadała aż na piersi, a w ciemnej, nieruchomej jak głaz twarzy, można było wyczytać całą nieubłaganą srogość fanatycznego wyznawcy Islamu.

Cały wyraz tej twarzy zdawał się spokojny i zimny na pierwsze spojrzenie, lecz ciemne oko, pałające dzikim gniewem, zmieniało to pierwsze wrażenie.

Na widok Achille'a, podniósł się Ibrahim nieco ze swego wygodnego posłania i mierząc swego jeńca przenikającym wzrokiem, zapytał zimno i surowo:

— Czego szukałeś giaurze wśród nocy u bramy meczetu i mojego domu?

Jeden rzut oka na nieubłagany wyraz twarzy starego Muzułmanina, pouczył Achille'a, że dla niego niema ratunku i litości, że popadł w ręce zaciętego wroga. W obec tego odzyskał na chwilę swoją przytomność i odezwała się w nim cała rycerska duma syna Francji. Już chciał odpowiedzieć wyzywająco; dumne słowa: „Przyszedłem wykraść Zuleikę, zrób ze mną co ci się podoba“, już zawisły na ustach. Ale pomnąc, że nie tylko jemu groziło niebezpieczeństwo, że prawdopodobnie i Zuleikę schwytano na ucieczce i że należy ją bronić do ostatka, odparł nieśmiało:

— Chciałem wejść do meczetu, myślałem, że brama otwarta.

— Czego szukałeś w meczecie?

— Służba waszego Allaha i Proroka podobała mi się, chciałem się do niej nawrócić.

Na te słowa uśmiech tryumfu i zadowolonej zemsty przesunął się po marmurowych rysach Ibrahima.

— Dobrze, wola twoja będzie spełnioną — rzekł — ja postanowiłem pierwotnie twoją śmierć, ale nie poważyłbym się zgładzić Allahowi nowego wyznawcę i sługę; dopomogę ci do tego, że będziesz mógł resztę twego życia wyłącznie jego służbie poświęcić.

Wyrzekłszy te słowa, przywołał do siebie jednego z eunuchów i dawał mu rozkazy w jakiemś niezrozumiałem dla Achille'a arabskiem narzeczu. Gdy skończył włożono na nowo kłębek do ust Achille'a, zawiązano mu oczy i wyniesiono go z pokoju. Uczuł, że zniesiono go do ogrodu, świeże nocne powietrze go owiało. Wkrótce przyprowadzono osiodłane konie, wsadzono i uwiązano go na grzbiet jednego z nich. Jego stróże również dosiedli koni i wzięli cugle rumaka, na którym był uwiązany ich jeniec.

Brama zaskrzypiała ponownie w zawiasach, tym samym jękiem żałoby, jak w chwili, gdy wychodziła z niej Zuleika, tentent trzech koni rozległ się po milczących ulicach Stambułu, odbijając się od głuchych murów. Potem świeższe powietrze i miękki grunt pod kopytami koni, zdradzały Achillowi, że byli za miastem. Godzina po godzinie upływała, pęty wpijały się w ciało jeńca, już mgliste światło przenikające przez zasłonę, którą zawiązane były jego oczy, zapowiadało, że ranek się zbliżał, a ciągle jeszcze niezwalniając kroku, dalej i dalej pędziły rącze rumaki.

Stary marynarz i Berthier, oczekiwali tymczasem przybycia kochanków na pokładzie najętego przez nich statku. Umówiona godzina nadeszła wreszcie i minęła, Delarive począł się niecierpliwić. Berthier uspokajał go z początku, zwracał jego uwagę na niezliczone drobnostki, które mogły Greczynkę ze Zuleiką dłużej zatrzymać w haremie. Gdy jednak północ minęła, gdy

nadeszła godzina pierwsza, druga, trzecia, a nikt nie przybywał, umilkł i on ze swoją perswazją. A gdy już ranek nadchodził i poczynało się rozjaśniać na wschodzie, podzielał już w zupełności niepokój i trwogę kapitana.

Dalsze oczekiwanie było zbytecznem, gdy okazały się pierwsze promienie wschodzącego słońca i obydwaj przyjaciele postanowili jednomyślnie wrócić na ląd, aby dociec co za wypadki mogły się wydarzyć.

Łódka Achille'a nietykana, była uwiązana na swojem zwykłem miejscu, żadnego śladu w ulicy, ani przy bramie haremu, również i w domu nie było oznaki, żeby Achille później tam był wstępował. Berthier podniósł kamień u progu, pod który włożyli zapłatę starej Greczynki, miejsce pod kamieniem było puste.

— Więc ona tutaj była i wzięła pieniądze — zawołał Berthier.

— Może z jakich nieznanych powodów Achille i Zuleika nie mogli uciekać w kierunku morza i schronili się na razie gdzieś w Stambule, lub uszli w głąb kraju — zauważał Delarive, chcąc sam siebie pocieszyć tą słabą nadzieją.

— Nie wiem co przypuszczać — odparł Berthier — lecz pierwszą rzeczą jest, koniecznie odszukać Greczynkę.

Lecz jak odszukać starą wróżkę w tem morzu domów, ulic i uliczek, w niezbadanych zaułkach Stambułu! — Z nich wszystkich jeden tylko Achille znał jej mieszkanie. — Pomimo tego rozpoczęli dwaj przyjaciele z niezmordowanym zapałem swoje poszukiwania. Bez wszelkich wskazówek i nadziei powodzenia przebiegali uliczkę po uliczce, zapuszczali się w najciemniejsze, najmniej znane zaułki. — Ale czyż mogło doprowadzić do celu takie poszukiwanie na oślep?

Już wieczór nadszedł, gdy stary kapitan znużony bezowocną wędrówką, powrócił do domu pełen rozpaczy i trwogi; tam zastał już Berthiera. Jedno nieme spojrzenie wystarczyło obydwu przyjaciołom, aby sobie wzajemnie powiedzieć, że ich usiłowania były bezskuteczne i że musiało stać się coś okropnego.

Łza rozpaczy zabłysła w oku kapitana i stary lew, który nigdy nie zadrżał wśród gradu kul i pocisków, runął omdlały, jak powalony dąb w wspierające go ramiona przyjaciela.

(Dokończenie nastąpi).

Zapytanie.

NAJNOWSZA SIELANKA EBERSA.

(Ciąg dalszy.)

Karzeł przerywał też często Lysandrowi rozumnemi pytaniami, i nie tracił wątku opowiadania, chociaż je mówiący sam przerywał, aby zwrócić uwagę na tańczących, i zachęcić tychże kilkoma słowy łaskawemi.

— Jak oni się cieszą i śmieją! — zawołał znowu chory. — Wszyscy, tacy jeszcze młodzi, a ja sam przed tym wypadkiem...

Nie dokończył, gdyż nagle ucichła muzyka, i pląsy wesołe ustały, a natomiast rozległ się szeroko i daleko, piskliwy dyszkant Semestry; jednocześnie zbliżyła się Xantha do chorego, z kawałeczkiem sukna na ramieniu.

Lysander spojrzał zdziwiony na córkę mocno zaczerwienioną i jakby zmięszaną, potem przeniósł wzrok na taniec tak nagle przerwany, gdyż tam działo się coś, czego wprawdzie nie pochwalał, ale i od śmiechu głośnego wstrzymać się nie mógł.

Młodzież spłoszona na chwilę, opamiętała się prędko i w długi łańcuch połączyła.

Mopsus skinął na grajka, i węża poprowadził.

Za każdym chłopakiem szła jedna z dziewcząt, a łączyli się tym sposobem, iż jedno drugiemu ręce kładło na ramiona.

Przyspiewując piosnkę wesołą, z ciałem naprzód podanem, i zręcznie nogami przebierając, zawiedli korowód coraz szybszy około gromiącej ich klucznicy.

Chciała zachwycić, to Chloris, to Dorippę, ale wszystko nadaremnie; koło, to się rozrywało, to znowu spajało po za jej plecyma, a zawsze na czele był Mopsus ze swoją kochanką czarnooką, i coraz szaleńszy wir wesołych taneczników, groził starej porwaniem.

Z razu nie miał Lysander odwagi, przerwać żart rzeszy hulaszczej, oznaką niezadowolenia, ale gdy ujrzał, że stara klucznica, która ani na chwilę krzyczeć i laską mirtową grozić nie przestawała, zziajana i spocona, cała sinieje, i nogi się pod nią uginają, uznał, iż czas kres położyć temu wybrykowi, i do córki zwrócony zawołał:

— Idź uwolń Semestrę od tej zgrai szalonej, i rozpędź wszystkich na cztery wiatry. I w żarcie musi być jakaś miara, i jakieś pohamowanie.

Xantha rozkaz natychmiast spełniła, koło się rozerwało, chłopcy uciekli w prawo, dziewki w lewo i tylko jedną Dorippę udało się przytrzymać Semestrze, to też nie żałowała jej słów obelżywych, pędząc kijkiem mirtowym przed sobą do domu.

— Będzie tam płacz, po śmiechu! — potrząsł głową Lysander — i radzę ci przyjacielu, wynoś się z twoją rzeszą skrzydlatą prędko z dziedzińca, abyś i ty przypadkiem co nie oberwał. Daj mu sukno obiecane moje dziecię.

Xantha zawstydzona, podała sukno kuglarzowi.

Odmierzyła była kawał dostateczny, tymczasem wpadła

do szatni Semestra, nóż jej z ręki wyrwała, i uciąwszy zaledwie połowę tego, gniewnie zawołała:

— I tyle za nadto, dla tego zuchwałego włóczęgi.

Karzeł rozwinął sukno na kolanie, a patrząc na Lysandra rzekł drwiąco:

— W naszym wieku trudno już czegoś nowego doświadczyć. Jednak dziś pierwszy raz w życiu, od kiedy rośćsię oduczyłem, przychodzi mi żałować, iż jeszcze mniejszym nie zostałem.

Chory drgnął i zmarszczył czoło niechętnie, na widok skrawka materji, który kuglarz umyślnie, na jedną i na drugą stronę obracał, powoli składając. Szybkim ruchem ściągnął z ramion nowiusieńką *Chlamis*, a podając karłowi rzekł chmurno:

— Weź mój płaszcz własny, bo co Lysander raz obieca, tego nigdy przez pół nie dotrzymuje.

Ostatnie słowa były zwrócone w części do kuglarza, a w części do Semestry, która dotąd z gniewu nie ochłonąwszy, czerwona i zasapana biegła ku panu swojemu.

Miłych słówek co prawda, nie można było w tej chwili od niej oczekiwać, ale i na tak gorzkie i gwałtowne wyrzuty, nikt nie był przygotowany, z jakiemi wystąpiła, spostrzegłszy, iż jej pan daje płaszcz piękny i nowy pierwszemu lepszemu włóczędze, a jej szczerość i oszczędność nagradza ostremi przycinkami.

Ona ten płaszcz własnemi rękami utkała najstaranniej, — mówiła jęcząc i płacząc — i oto jak jej pracę szanują! Dzięki jej staraniom i zapobiegliwości, całe postawy sukna, całe sztuki płócien leżą w skrzyniach; najlepiej gdyby te wszystkie zapasy Lysander wysłał do Syrakuzy, i pomiędzy podobnych włóczęgów kazał porozdzielać! Ona dobrze wie, że to wszystko jej na złość się robi, aby za jej wierność i pamięć o wszystkiem, nagryźć ją i nałajać w dodatku! W innych krajach, nawet pomiędzy barbarzyńcami, umieją włos siwy uszanować, ale tu uczą starsi młodszych, jak mają z niej drwić, szydzić i prześladować.

Rysy chorego zmieniały się coraz bardziej przy tym słów wylewie. Bladość śmiertelna twarz powlekła, bolesny kurcz usta wykrzywił, a zmęczone powieki, zamykające się powoli, rzucały cień złowrogi na policzki zapadnięte.

Wyglądał na człowieka konającego.

Cała jego postać zdradzała, jak go drażni okropnie głos piskliwy i gderanie nieznośne Semestry, nie mógł atoli zmusić jej do milczenia, podnosząc głos ze swojej strony, bo mu sił brakło do tego. Potrząsał tylko ręką wyschniętą i patrzał na nią miłosiernym wzrokiem, chcąc burzę zażegnać i spokój pozyskać, ale nadaremnie.

Xantha pierwsza spostrzegła, ile cierpi jej ojciec, zawołała też stanowczo i bez namysłu:

— Milcz Semestra! Czyż nie widzisz że twój krzyk ojcu szkodzi?

Słowa te zamiast uspokoić, rozdrażniły do żywego klucznicę, zaczęła jeszcze lepiej dogadywać wśród łez obficie spływających:

— Do tegoż więc przyszło! Dziecko rozkazuje staruszce, która je wyplekała i na tych swoich rękach wynosiła! Ale masz wiedzieć panie, że nie dam dłużej tak sobą poniewierać! Zuchwalec Mopsus jest synem wyzwolonej i służy temu domowi za drogą zapłatę; tyle też i służył, bo dziś jeszcze musi ten dom opuścić, to taką jest prawdą, jak że spodziewam się dożyć jeszcze żniw tegorocznych. On, albo ja! Chcesz go panie zatrzymać, to ja dziś jeszcze wyprowadzam się do Agrigentu, do moich wnuków i córki, która przez każdego posłańca wzywa mnię do siebie. Jeżeli ci ten nicpoń milszy, niż ja, opuszczam to siedlisko niewdzięczności. W Agrygencie...

— W Agrygencie pięknie jest! — przerwał jej kuglarz, wyciągając palec wskazujący w stronę tego miasta sławnego.

— Prześlicznie tam jest! — krzyknęła stara zaperzona — póki się nie spotka na ulicy, takich jak ty nicponiów i darmozjadów!

Klucznica ustała na chwilę, nie mogąc tchu złapać z wielkiej irytacji; korzystał z tej przerwy biedny chory, i odezwał się głosem słabym, łzawym i błagającym jak prosi małe, bezsilne dziecię, gdy mu zabawkę ulubioną odbierają:

— Mopsus ma odejść, miły, wesoły Mopsus; żaden inny tak nie potrafi mnię podnieść i poprowadzić.

Te słowa bolesne uśmierzyły cokolwiek zapał gniewny pani Semestry, spuściła z tonu i ciszej odpowiedziała:

— Nie będziesz więcej panie tego chłopczyska usług potrzebował, gdyż dziś przyjeżdża Leonax, syn Alkiphrona. Ten będzie cię wodził i plekał, jak byś był jego ojcem rodzonym. Ci tam w Messenie inaczej wiek i zasługi uczcić umieją, i są przyjaźniej usposobieni, bo podczas gdy tu szydzą tylko, to tam myślą o mnie biednej, i przysyłają strój piękny i poważny, abym miała w czem na przyszłem weselu wystąpić.

Chory spojrzał na córkę pytająco, ta zaś odrzekła zarumieniona:

— Semestra mi o tem mówiła. Gdym sukno odmierzała, coś nadmieniała, iż Leonax przyjeżdza jako ubiegający się o moją rękę.

— Aby mu tylko lepiej poszło, niż Alkamenesowi i innym, których z niczem odesłałaś! Wiesz, iż cię zmuszać nie chcę, ale gdy jeszcze mam stracić Mopsusa, życzyłbym sobie syna dobrego i przychylnego. Dla czego Phaon poszedł na takie bezdroża?! Młody Leonax...

— Leonax jest całkiem w innym rodzaju! — przerwała mu żywo Semestra. — Ale teraz pójdź mój gołąbeczku, gdyż mamy jeszcze tysiące spraw do załatwienia.

— Idź sama! — rzuciła się Xantha niecierpliwie — później nadejdę. Tobie ojcze spoczynek potrzebny nieodzownie. Pozwól się do domu odprowadzić, i wyciągnij członki strudzone na miękkiej pościeli.

Spróbowało młode dziewcze ojca unieść z siedzenia, ale jej wątłe siły na to nie wystarczały, aby udźwignąć chorego i bezwładnego. Wreszcie podniósł się z jej i

kuglarza pomocą, a ten ostatni szepnął mu do ucha z naciskiem:

— Moje kury mówią mi nie jedno, ale tu po za czołem, siedzi jeszcze inna przepowiednia: Zbliża się dla ciebie panie chwila wyzdrowienia, ale nie dojdziesz do celu, jeżeli z tą starą, która wlecze się teraz ku domowi, nie postąpisz tak, jak ja z mojemi ptakami.

— A cóż ty robisz z niemi?

— Uczę je posłuszeństwa, a jeżeli widzę, że chcą koniecznie działać podług własnego widzimisię, przedaję i szukam innych.

— Ptakom bezmyślnym nie masz też nic do zawdzięczenia.

— Tem mniej takim, którzy tylko swoją powinność wypełniają.

— Ale gdy tak jest, zachowujesz je i troskliwie pielęgnujesz.

— Póki się nie zestarzeją, i nie chcą być mędrsze odemnie.

— A wtedy?

— Darowuję takowe pierwszemu lepszemu wieśniakowi, gdzie niosą jaja, i żyją póki mogą. Dla twojej kury, wierzaj mi panie, najstosowniejsze miejsce w Agrygencie.

Lysander wzruszył tylko ramionami, a gdy tak utykając, zbliżał się powoli, na ramieniu córki oparty, do drzwi domu, na których progu o mało się nieprzewrócił, przysięgła w duchu Xantha, iż musi postarać się dla niego o syna, na którym mógłby się oprzeć bezpiecznie i spuścić we wszystkiem, jednem słowem: o męża prawdziwego, zacnego, szlachetnego i energicznego.

D W I E O F I A R Y.

Dobra godzina minęła, a oblicze starej klucznicy jeszcze szkarłatem płonęło, — ale już nie z gniewu, tylko ze zbytku gorliwości i narażanie się nieustające na wpływ ognia, suto na kuchni rozpalonego, przy którym stojąc, bądź kołaczy pilnowała, bądź pieczeń na rożnie rozmaitemi przyprawami polewała.

Obok niej stał stary Jason, który dotąd w sprawie swojego młodego pana nie dał za wygranę i chętnie narażał się na złośliwe pociski Semestry, ponieważ gorzko żałował, iż w poprzedniej z nią rozmowie rozdrażnił starą tylko, zamiast ją dla Phaona pozyskać.

Tak serce go bolało i byłby się chętnie wybił za to, iż mógł tak lekkomyślnie unieść się gniewem, przez co na szwank naraził szczęście przyszłe swojego ulubieńca.

Niestety słowa jego łagodzące, na twardą epokę padały, Semestra zaledwie bąkła jakąś odpowiedź, dając mu wreszcie najdobitniej do zrozumienia, iż jej w robocie przeszkadza.

— Baczność — prawiła mu sentencjonalnie — jest matką dobrego powodzenia. Jeszcze więcej prawie, niż przy tkaniu, potrzebną jest uwaga przy kuchni, a jeżeli Leonax, dla któregom ręce zakasała, podobny w tem do ojca, to potrafi doskonale rozróżnić dobre i smaczne od złego i niedopilnowanego.

— Alkiphron — odrzekł Jason — jadł chętniej figi ze sadu przy naszym domu, niż z waszego.

— A gdy się niemi chciał uraczyć, toś go trzepał prętem orzechowym. Dotąd mi w sercu brzmi boleśnie krzyk mojego pieszczocha.

— Za wiele fig psuje żołądek — odrzekł stary powoli i dobitnie, jednak nie bardzo głośno, żeby Semestrze jej głuchoty nie przypominać. Widząc, że się stara uśmiecha, przysunął się bliżej z wejrzeniem błagającem:

— Miejże przecie trochę serca — znowu przemówił — i nie chciej biedne dzieci rozłączać, które bądź jak bądź do siebie należą. Xantha również lubi figi, a jeżeli Leonax podziela w tem gust ojca, to co się stanie z twojemi ulubionemi owocami? Phaon zaś nie lubi nic słodkiego. Ale żarty na bok: choćby mu ojciec dwadzieścia bogatych narzeczonych wyszukał, on nie zechce innej, tylko Xanthę. I czyż możesz powiedzieć, iż Phaon nie jest młodzieńcem pięknym i dorodnym?

— Ale ten drugi, jeszcze piękniejszy! — odrzuciła Semestra, bynajmniej słowami jego nie poruszona. — Czyś widział już dzisiaj twojego ulubieńca? Nie! A wiesz gdzie przebywał tej nocy, tamtej i pozawczoraj?

— Zapewne na swojem łożu...

— W waszym domu, co?

— Nie biegam za nim i nie śledzę jego kroków, od kiedy wyrósł z lat dziecięcych.

— I my tego z pewnością nie czynimy! Zadajesz sobie trud daremny Jasonie i proszę cię stanowczo, nie przeszkadzaj mi. Widzę plamy brunatne na pieczeni. Prędko Chloris! Zdejm rożen z ognia!

— Chciałbym Lysandrowi życzyć dnia dobrego.

Bardzo zmęczony i osłabiony. Nie może widzieć się z nikim. Ta hołota tak go dziś zgniewała.

Rzuciła okiem ponurem po kuchni.

— No, to przejdę się trochę po ogrodzie.

— Aby szczęścia z Xanthą próbować? Mówię ci, że to wszystko nadaremnie. zajęta zresztą u siebie strojem i włosów trefieniem na przyjęcie gościa naszego z Messeny, a choćby stała ot tu, gdzie leży ten listek sałaty, toby mi się jednem słowem nie sprzeciwiła, gdybym ci chciała powtórzyć, coś już dziś rano z ust moich usłyszał: Prędzej nie zostanie nasza dzieweczka małżonką Phaona, póki ja sama Aphrodycie ofiary nie złożę ze zwierzątka własną ręką wykarmionego, aby serce Xanthy, miłością dla niego rozpłomieniła.

Jason wzruszył niecierpliwie ramionami, i już chciał opuścić progi nieżyczliwego mu domu, gdy Dorippa drzwi od kuchni otworzyła.

Oczy miała od płaczu czerwone, a w jej ramionach spoczywało, trzepocąc się i krótkiemi nóżkami przebierając, zwierzątko tłuściuchne, okrągłe jak gałka, biało cielistej barwy, które kwiczało przeraźliwie, głośniej jeszcze i żałośniej, niż zwykło krzyczeć głodne niemowle.

Było to prosiątko, ślicznie wyhodowane.

Jason spojrzał na nie znacząco, a Semestra wyrwawszy prosię z gniewem z rąk dziewki, przycisnęła zwierzątko do własnej piersi, odwróciła się od staruszka i mruknęła pod nosem, dość jednak głośno, aby mógł dosłyszeć:

— Pieczyste na ucztę dzisiejszą.

Skoro Jason izbę opuścił, postawiła prosiątko czysto umyte na ławkę drewnianą, rozkazała Chloris pilnować, aby się nie zbrudziło, wyjęła ze szufladki od kołowrotka wstążkę niebieską i dwa kawałki czerwonej, pierwszą starannie uwiązała u ogonka figlarnie skręconego, dwie ostatnie do uszek sztucznie przymocowała, podniosła w górę prosiątko, przypatrując mu się z miłością matki, gdy z dumą pożera oczyma swoje dziecię pierworodne, wykąpane i ślicznie wystrojone, poklepała je lekko po częściach ciała najtłuściejszych i najokrąglejszych i rozkazała Dorippie, aby prosię natychmiast do świątyni Aphrodity odniosła.

— Piękne jest i bez zarzutu! Kapłan niech je zaraz zarżnie na ofiarę, dla bogini łaskawej i wszechpotężnej. Przyjdę sama, skoro się tu cokolwiek uskromnię, a po takim darze, cudowna, z piany morskiej występująca Kypris, pewno wysłucha mojej prośby gorącej. Tylko schowaj dobrze moją śliczotkę pod ubranie, aby nikt nawet kawałka ogonka zobaczyć nie mógł.

— Kiedyż ono na rękach ciągle się rzuca i strasznie kwiczy — dziewka odrzuciła.

— Tak, tak, kwiczy żałośnie biedniątko! — zamyśliła się stara. — Poczekaj no, poszukam koszyka stosownego.

Klucznica wyszła, a po chwili wróciła mówiąc:

— Mopsus tam stoi pod drzwiami i ładuje na naszego osła swoje manatki, ale dziś jest jeszcze w służbie u Lysandra. Włóż mu prosiątko do jednego z koszów, które wiszą po obu stronach osła, i niech je prędko do świątyni odwiezie. Natychmiast niech rozkaz wypełni, bo jeżeli za godzinę nie zastanę ofiary spełnionej, do ciebie się oto wezmę, pamiętaj sobie! Powiedz mu to, a po drodze narwij gałązek rozmarynu i mirtu, aby nasz dom umaić świątecznie.

Mopsus nie spieszył się jednak z wypełnieniem polecenia.

Najprzód pomagał Dorippie w wycinaniu gałązek najpiękniejszych, a przy tej robocie, nie tyle w krzakach, ile na ustach koralowych swojej ukochanej, szukał darów najświeższych i najbardziej woniejących; potem ciągnął pod górę swojego osiołka nader powoli, nie popędzając go wcale. Osiołek był objuczony dwoma koszami, miał na głowie czub z piór różnobarwnych i ognisto-czerwone popręgi i uzdeczki. Wyglądał wspaniale w stroju odświętnym, nie mniej przeto głowę smutno w dół zwieszał, nie tak jednak nisko, jak jego młody poganiacz, którego Semestra wypędziła z domu pana tak dobrego i z jego najmilszą rozdzieliła.

Dobre pół godziny minęło, zanim dostał się do miejsca uświęconego.

W małym gaiku, rozłożonym u stóp wchodów świątyni, stał o tym samym czasie stary Jason.

Jak przed chwilą, w domu Lysandra dziewka, tak również starzec siwowłosy, chuśtał coś w ramionach, wyrywającego się i kwiczącego; a i to coś było prosiątkiem, ale nie miało wstążek u ogonka i koło uszek, nie było też takie tłuściuchne, a nawet pod rzadką i najeżoną szerścią, pełno było plam brudno-czarnych.

Nie z taką czułością, jak Semetsra ze swojem zwierzątkiem, obchodził on się z tem biednem, niewinnem stworzeniem, gniótł je bez miłosierdzia i patrzał chmurnie na niego; miał też wszelkie do gniewu powody, gdyż kapłan nie chciał go bogini ofiarować, znalazłszy, iż jest źle pasione, i pełne plam, zły *Omen* zapowiadających.

Ah! Jason nie miał na razie innego, a tak byłby rad boginią dla Phaona sprawy pozyskać i łaskawie dla niego usposobić!

Skoro zobaczył Semestry ofiarę, poleciał do domu, aby ją uprzedzić i serce bogini pozyskać dla Phaona. Stał teraz bezradny i niepewny, czy ma to nieszczęśliwe stworzenie ubić od razu, czy też odnieść do swojej matki.

Jako człowiek zapobiegliwy, zdecydował się na to ostatnie, i właśnie wyobrażał sobie, jak jego matka wkrótce wygładzi te boki pozapadane i wykarmi prosiątko należycie, gdy usłyszał odgłos kopyt osiołka przez Mopsusa prowadzonego, i suchy łoskot laski, gęsto na jego grzbiet spadającej, a po każdym razie energicznie wymierzonym, wołanie gniewne Mopsusa: „Masz Semestra! Masz stara!“

Wkrótce ukazał się Mopsus wraz ze swoim osłem na wierzchołku góry, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, tylko waląc dalej osła laską, przy akompaniamencie przekleństw i słów obelżywych, tyczących się Semestry. Chłopak nie spostrzegł dotąd Jasona, ale ten patrzał na niego, z uczuciem uznania, a nawet prawie ojcowskiej czułości.

Zwykle, skoro spotkał staruszka, zdaleka witał go głośnem pozdrowieniem: „Ciesz się Jasonie!“ — dziś jednak zaledwie głową skinął na starego powitanie i coś niezrozumiałego bąknął pod nosem.

Zarządca zastąpił mu drogę, a kładąc na głowie osła dłoń ciężką i spracowaną, zapytał:

— Semestrą nazywasz tego siwosza?

Mopsus zaczerwieniony, odrzucił prędko:

— Wszystkie oślice będę odtąd tak nazywał, ale tego tu stara jędza Jasonem tytułowała.

— Patrzajcie! — zawołał stary wesoło — jak ta szanowna matrona, czule sobie mnię przypomina! Ale i ty o niej widzę nie zapominasz, bo ileś razy laskę podnosił, o niej ile się zdaje myślałeś.

— To prawda! — potwierdził Mopsus, a poprawiając juki na ośle dodał:

— Biedny Jasonie, i tobie dość ta stara się nadokuczała! Gdybyś wiedział co to za furja przeklęta!

— Znam ja ją dobrze! — odparł Jason spokojnie — ale zawsze to staruszka, i tobie lżyć jej nie wypada; zastępuje ona w domu twojego chorego pana.

— Temu, cały bym się pod nogi słabe położył, żeby mu to ulgę przynieść miało! — zawołał chłopak serdecznie — ale ta Semestra niegodziwa, za nic z domu mnie wygnała, służby pozbawiła, z Dorippą rozdzieliła może na zawsze, bo gdzież ja na razie znajdę w bliskości miejsce odpowiednie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 6. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał MIECZYSŁAW SCHMITT.

(Ciąg dalszy).

ARTUR.

Pomyśl jak będzie szczęśliwym, otoczymy go wygodami, podamy mu środki by mógł skuteczniej pracować na tej niwie, której poświęcił swe życie.

LEONIA.

Dość panie... Odpowiadać ci nie powinnam i nie mogę (zwraca się ku drzwiom na lewo).

ARTUR (zabiegając jej drogę).

Nie wyjdziesz!...

LEONIA (idzie ku drzwiom na prawo).

ARTUR (zabiegając znowu).

Ha, gdy nie pomogły prośby, błagania, więc siła ci wydrze to słowo, którem bije twe serce a którego twe dumne usta nie chcą wyrzec! (chwyta ją w pół) Szalony już jestem... moja miłość stała się tygrysią... i raczej umrzesz...

LEONIA (pasuje się).

Puść mnie...

ARTUR.

Nigdy, tyś moją dzisiaj i moją będziesz na zawsze...

LEONIA (wyrywa się i biegnie ku drzwiom na lewo, w których ukazuje się Oktaw).

Scena VI.

Ci sami, OKTAW.

LEONIA.

Panie ratuj mnie...

OKTAW (zasłaniając ją).

Nędzny!...

ARTUR.

Precz mi z drogi!... (chce go odtrącić a w tej chwili Leonia staje między Oktawem i Arturem i patrząc nań mówi z wytężeniem).

LEONIA.

Panie tyś szlachetny! (a wskazując na pierwsze drzwi na prawo) a tam twoja droga, tam twa powinność...

ARTUR (spuszczając głowę).

Emma!...

LEONIA.

Spojrzyj hrabio w koło. Złocisty ten pokój, nie dla mnie to klatka. Wolne ptaszę niech wolno buja po przestworzu. Ziemia i niebo oto jego gmachy, listek barwinku to jego korona, a promień słoneczny całem jego szczęściem. Tyś innego rodu i inne ci gniazdo uścielić. I tyś panie wolny, i tobie bujać, lecz bujać duchem wyższym po nad inne, sercem szlachetnem uszlachetniać inne, boś ty sokołem, nie wątłym skowronkiem, tyś stworzony do walki, bo masz siłę. Słowa twe wiecznie zachowam w pamięci, lecz panie ustąp, tędy moja droga (wychodzi szybko na lewo).

ARTUR.

Odeszła!... Lecz nie!... Na Boga ja ją zatrzymam (zwraca się ku drzwiom).

OKTAW (wstrzymując go).

Czekaj!

ARTUR.

Nie mój kochany, puść mnie. Zastanów się, co sobie ludzie pomyślą? Odeszła z tąd sama jedna w nocy.

OKTAW.

Lepiej niech idzie sama, jak w twojem lub mojem towarzystwie. Tu ona już wrócić nie powinna.

ARTUR.

Już nie wróci! (idzie chwiejnym krokiem, rzuca się w fotel i zakrywa twarz rękoma).

OKTAW (patrzy przez okno).

Już świta. Lecz cóż to? jakieś cienie — ktoś chodzi — (zagląda) Nie mogę rysów rozróżnić, lecz zdaje mi się, że to Karol. Tak, to on! A więc widział wszystko! O, biedna gołąbko! (patrzy na Artura) zamknął ci już na wieki drogę do szczęścia. (do Artura) Wstań szlachetny i chodź spojrzyj na swe dzieło. Zanim słońce zejdzie, ten człowiek ją zabije!

ARTUR (jakby ze snu).

Kto tu?

OKTAW (milczy chwilę, potem).

Nie poznajesz mnie? Oktaw, twój przyjaciel. Nucę ci piosnkę do snu!

ARTUR.

Do snu! (zrywa się) Lecz nie, ona nie może z tąd tak odejść, muszę ją przebłagać.

OKTAW.

Już przebłagałeś, wszak wyrzekła, że słowa twe zachowa wiecznie w swej pamięci. Wiecznie! Arturze, czy rozumiesz znaczenie słowa wiecznie?

ARTUR.

Tak, prawda, ona to wyrzekła. Ta kobieta mnie kocha, a tylko jakaś siła szatańska dzieli ją odemnie. Nie, to nie może tak pozostać. Ja muszę rozciąć ten węzeł gordyjski (biegnie ku drzwiom na lewo).

OKTAW (zastępuje mu drogę).

Nie wyjdziesz!

ARTUR.

Szalony człowieku ustąp.

OKTAW.

Ciszej, zbudzisz ciotkę.

ARTUR (porywczo).

Ustąp!...

OKTAW.

Uspokój się, Emma usłyszy.

ARTUR (wściekły).

Nie puścisz drzwiami, więc tędy ma droga! (biegnie ku oknu, lecz Oktaw chwyta go).

OKTAW (cicho).

Szaleńcze patrz, tam Karol stoi.

ARTUR.

Karol?

OKTAW (puszczając go).

Czeka zapewne na ciebie. Teraz idź jeżeli masz ochotę.

ARTUR.

On na mnie? na mnie? (śmieje się dziko i idzie ku drzwiom na prawo).

Scena VII.

Ci sami, EMMA (później Leonia).

ARTUR (cofając się przed wchodzącą Emmą).

Boże! Emma...

EMMA.

Nie mogłam zasnąć i zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy, więc niespokojna... Lecz Arturze? co tobie, takiś blady... Nie odpowiadasz? Panie Oktawie, co to znaczy?

OKTAW.

Nie wyspany, zmęczony. Właśnie miał się udać na spoczynek.

ARTUR.

Tak, tak. Jestem trochę zmęczony... (do Oktawa) Oddal ją na miłość Boga!...

EMMA.

Zanadto cię nuży to ciągłe czuwanie. Idź, wypocznij, zajmę twoje miejsce...

ARTUR (żywo).

Dobrze, idę...

OKTAW (do Artura na stronie).

Pójdziemy razem...

EMMA.

Czemu nie idziesz?

ARTUR.

Nie idę, bo jakże sama zostaniesz? Oktaw niech tu chyba czuwa z tobą.

EMMA.

Tu nie zostanę, pójdę do mamy...

OKTAW (do Artura półgłosem).

I zapytaj, gdzie się podziała Leonia?

ARTUR (żywo).

Nie, nie, widzisz do mamy nie można. Wchodząc mogłabyś ją zbudzić...

EMMA.

Nie obawiaj się, wejdę cicho. Ale widzę, że dokąd tu stoję ty nie odejdziesz, a tak ci potrzeba wypoczynku... Do widzenia więc (zwraca się ku drzwiom pierwszym na prawo).

ARTUR (zabiegając jej drogę).

Nie, nie idź tam...

EMMA.

Dlaczego? Arturze, na Boga, ty coś ukrywasz przedemną...

OKTAW.

Nic pani. Lecz rzeczywiście Artur ma słuszność, iż wchodząc mogłabyś pani zbudzić hrabinę... a sen jest dla niej najlepszem lekarstwem.

ARTUR (już nieco spokojniej).

Posłuchaj naszej rady i najlepiej odejdź do swego pokoju. Mnie już i tak senność opuściła, zostanę tu do rana...

EMMA.

A, wy coś ukrywacie przedemną. Boże, może matka moja bardzo chora, może...

ARTUR.

Ale zaręczam ci słowem honoru, że spi najspokojniej w świecie, (na stronie) to jedyny sposób... (do Emmy) Przekonaj się sama zresztą (odchylając drzwi na stronie) Ciemno dzięki Bogu!

EMMA (zaglądając).

Ha! teraz rozumiem wszystko... Boże... nie mam już matki! (Chwieje się a Oktaw ją chwyta i prowadzi na fotel).

ARTUR.

Oszaleje chyba. Ale Emmo słuchaj, matka twa zdrowa, spi tylko...

EMMA (mdlejąc).

Umarła...

OKTAW.

Podaj mi wody... zemdlała!...

ARTUR.

Ha, niech mdleje, niech umiera. Niechaj ja umrę, niechaj wszyscy giną...

OKTAW (odstępuje od Emmy).

O człowieku! Teraz dopiero poznałem całą twoją nicość. Dobrze, niech ginie. Czy jedna więcej lub mniej, cóż to ciebie obchodzi? Biegnij, tam może już czeka na cię trup drugiej. Idź, napawaj się jej widokiem i wyczytaj swe własne słowa zapisane na wieki w jej pamięci, ale zarazem i piętno twej hańby wyryte na martwem jej czole...

ARTUR (patrząc nań obłąkanym wzrokiem).

Wyryte piętno na martwem jej czole... Martwem? Leonio! ja cię tak kocham, a twe czoło miałoby być martwe, twe oczy zamknięte. Nie! to kłamstwo, kłamiesz! ona żyje i kocha mnie. Ale rozumiem, to ten człowiek Karol, to on stanął między nią a mną. Ha, ja go zabiję... (Podbiega ku drzwiom na lewo, lecz staje jak wryty widząc wchodzącą Leonię).

LEONIA.

Panie, bądź szlachetnym. Zapomniałam o ojcu... a jakiż bym mogła podać mu powód, iż wracam o tej porze do domu (spostrzega Emmę) Boże, ona tu, a więc jestem ocalona! (biegnie ku niej i klęka).

ARTUR.

Leonio, nie omyliłaś się Siła twego ducha jest tak potężną, że nawet szatan by przed nią ustąpił... Bądź zdrowa, na zawsze... (wychodzi powoli na prawo).

OKTAW (patrząc za nim).

Anioł musi zwyciężyć!

(Koniec aktu trzeciego).

AKT IV.

Scena jak w drugim akcie, tylko drzwi do domku Jazowskiego otwarte i umajone.

Scena I.

ANNA, KAROL.

ANNA (wieńcząc drzwi).

Czemuż pan tak chodzisz zawzięcie tam i napowrót? Czy jeszcześ pan nie wyrachował, ile kroków jest ztąd do szkoły?

KAROL (stając).

Zastanawiałem się nad czem innem.

ANNA (podchodząc).

Ciekawa jestem nad czem? Pewnie, ile jeszcze czasu upłynie, nim się panu pokaże Leonia w sukni weselnej.

KAROL.

Nie zobaczę jej więc przedtem?

ANNA.

Naturalnie, że nie. Zwyczaj tak nakazuje i nie możemy od niego odstąpić. Lecz jak widzę nie jesteś pan jeszcze ubrany.

KAROL (spoglądając po sobie).

Rzeczywiście.

ANNA (śmiejąc się).

Jakiż pan roztrzepany! Lecz nie pora do żartów. Lepiej idź się pan ubierać, bo czasu już nie wiele. Cóż? idź że pan...

KAROL.

Idę, idę...

ANNA.

A stoisz pan na miejscu. Boże mój Boże, gdy nadejdzie ważniejsza chwila w życiu, gdzie też się podziewa wasza szalona odwaga? Wyglądasz pan tak pociesznie...

KAROL.

Pociesznie? Cóż pani widzisz we mnie nadzwyczajnego?

ANNA.

Nieco bojaźni, a trochę powątpiewania!...

KAROL.

To naturalne. Dokąd bowiem nie jest się pewnym posiadania...

ANNA (przerywa).

Co też pan mówisz? Nie wiedziałam, że mężczyźni tak nie wierzą do ostatniej chwili.

KAROL.

Przeciwnie, może i zanadto wierzą i dla tego bywają oszukiwani!...

ANNA.

Co? Co pan wyrzekłeś? (patrzy nań i po chwili) Lecz z panem nie warto dzisiaj rozmawiać. O Leonii myślisz, a wyplatasz... (figlarnie) Otóż co do niej, gdybyś mnie pan ładnie, bardzo ładnie poprosił, to kto wie...

KAROL.

Cóż by było?

ANNA.

Udawaj pan teraz niedomyślnego!

KAROL.

Doprawdy, że nic nie rozumiem.

ANNA.

Niewinny baranek. Czy pan myślisz, iż nie wiem, dla czego pan tu stoisz i chodzisz i czekasz od godziny?... Pewnie dla mego towarzystwa, żeby mnie zabawić? O Leonię panu idzie, chciałbyś ją koniecznie zobaczyć bodaj na chwilkę. I nie lepiej mi to było powiedzieć otwarcie, niż wzdychać i zachodzić gdzieś .o sto mil z daleka!... Lituje się jednak nad panem. Pójdę, a może mi się uda, wywabić tu Leonię. Zaczekaj pan (zwraca się).

KAROL (zastępując jej drogę).

Nie, nie czyń pani tego...

ANNA.

Niechcesz pan?...

KAROL.

Zwyczaj na to nie pozwala. Zresztą i czasu już nie ma. Pójdę się ubierać. Tak przecież nie mogę iść do ślubu!

ANNA.

Jak pan to mówisz?...

KAROL.

Jak zwykle...

ANNA (poważnie).

O, nie. Dotąd żartowałam, teraz zaczynam się pana obawiać!...

KAROL.

Mnie, obawiać? Jeżeli jednak tak jest rzeczywiście, niechaj ci to będzie przestrogą. Nie kochaj nigdy (zwraca się i wychodzi szybko furtką).

ANNA (sama patrząc za nim).

Co to ma znaczyć? Czy on zmysły stracił? (zamyśla się i po chwili) Nie, jaka ja zabawna, ot zwyczajnie, miłość tak mu głowę zawróciła, iż nie wie sam, co mówi! (idzie ku domowi) Oczywiście, cóżby zresztą mogło być innego? (staje) Przecież nic takiego nie zaszło (po chwili) Czyżby? prawda... tak, tak, przypominam sobie. Kiedy opowiadałam Leonii o tej plotce, ona odrzekła: „On mnie

kocha, ale może i przestać kochać!“ (po chwili) Ej, nie, Leonia mówi często tak dziwnie. Dlaczegoby jej nie miał kochać? Nie żeniłby się z nią w takim razie. Ot nie warto i myśleć o tem (idzie ku drzwiom).

Scena II.

ANNA, GÓMNICKI ubrany świątecznie.

GÓMNICKI (wchodząc furtką).

Anno, zaczekaj.

ANNA.

Ojciec już przyszedł?

GÓMNICKI.

Byłbym nawet i prędzej przyszedł, gdyby mnie nie byli zawezwali do dworu.

ANNA.

Cóż tam słychać?

GÓMNICKI.

Nic nowego. Hrabina już prawie zdrowa, kazała mi pozdrowić Leonię i wręczyć jej prezencik.

ANNA (biorąc).

Jaki śliczny pierścień!

GÓMNICKI.

Prawda? Ale i cenny, grubo wart.

ANNA.

To się Leonia będzie cieszyła!

GÓMNICKI.

Pewnie. Ale jest i drugi prezent.

ANNA.

Drugi? Od kogoż?

GÓMNICKI.

Od hrabianki. Patrzaj.

ANNA (biorąc).

Perły!

GÓMNICKI.

I to prawdziwe!

ANNA.

Perły, to łzy. Niestosowny podarek ślubny!

GÓMNICKI.

Niestosowny? Żebyś tylko także dostała od kogo taki dar królewski!

ANNA.

Nie pragnę, i powiem nawet hrabiance.

GÓMNICKI.

Kiedy?

ANNA.

Gdy ją zobaczę, jutro... pojutrze.

GÓMNICKI.

Nie zobaczysz już jej, ponieważ wszyscy dzisiaj odjeżdżają.

ANNA.

Jakto? tak niespodzianie?

GÓMNICKI.

U panów wszystko tak idzie. Dziś to, jutro tamto. Sami nie wiedzą, ani czego chcą, ani co robią. Lecz nie było tu Karola?

ANNA.

Był i odszedł.

GÓMNICKI.

Nie wiesz gdzie?

ANNA.

Owszem, poszedł ubierać się. Lecz ojcze, nie wiesz dla czego Karol, taki... jakiś...

GÓMNICKI (przerywa).

Co? co przez to rozumiesz? Zwyczajnie jak przed ślubem. Czy mówił co z tobą?

ANNA.

To też właśnie, mówił tak dziwnie.

GÓMNICKI.

Tak ci się może tylko zdawało! Ot pójdę po niego, bo i tak nie ma tu jeszcze nic do czynienia (idzie ku furtce) (na stronie) Czy on tylko nie ma czego złego na myśli? (wychodzi).

ANNA (sama).

Sama nie wiem dla czego, lecz dziwny mnie lęk bierze. O, te perły, to zła wróżba!... (zamyśla się).

Scena III.

ANNA, LEONIA w ślubnej sukni bez welona i wianka.

LEONIA (wchodząc z domu).

Nad czem ma druchna tak duma?

ANNA.

Leonio, wychodzisz... a gdyby cię też kto zobaczył.

LEONIA (zbliżając się).

Czyżby się mnie uląkł?

ANNA.

Uląkł! Wyglądasz jak królewna z zaczarowanego zamku, a tylko ci brakuje... lecz jest, jest i to... Patrzaj oto perły i drogie kamienie.

LEONIA.

Zkąd ten pierścień? (na stronie) On go nosił!

ANNA.

Hrabina przysyła ci go w raz z życzeniami, a to od hrabianki.

LEONIA.

Perły?... Jakie piękne! (bierze na szyję) Czy mi w nich do twarzy?

ANNA.

Ślicznie w nich wyglądasz. A jeszcze gdy twe jasne włosy zielony wianuszek okryje, to Karol... Lecz cóż to? zdejmujesz perły?

LEONIA.

Ciężą mi zanadto... gdyby okowy.

ANNA.

Nie zdejmuj! Tak ci w nich ładnie... Uczyń to dla mnie.

LEONIA.

Dobrze i tak nie długo je będę nosiła.

(Dokończenie nastąpi).

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.